

# Minimalistyczna Księżniczka czardasza

[Marta Luczkowska](#) / 23 maja 2016

**Są takie spektakle, o których nie można powiedzieć, że są wybitnie dobre, ale nie są też złe i skazane na porażkę. Kryją swoje wady i zalety, stając się spektaklami, których nie sposób zaklasyfikować, zaszufłdkować, jednoznacznie ocenić. Do takich właśnie należy najnowsza produkcja Teatru Muzycznego w Poznaniu, *Księżniczka czardasza* w reżyserii Grzegorza Chrapkiewicza, która miała swoją premierę 21 maja, czyli niemal w dniu 60. urodzin Teatru.**

Klasyczna operetka Kálmána w nowej poznańskiej odsłonie jest parodią gatunku, w którym została osadzona – wyśmiewa operetkę, nazywając ją sztuką popularną, przeznaczoną dla spragnionego taniej rozrywki, widza. Grzegorz Chrapkiewicz, znany poznańskim widzom chociażby z reżyserii *Akompaniatora*, po raz kolejny postanowił pobawić się konwencją, gatunkiem, tym, co doskonale znane. Z tej zabawy powstał spektakl groteskowy i niezwykle współczesny – pod względem scenograficznym, muzycznym i kostiumowym. Na potrzeby poznańskiej inscenizacji odświeżone zostało libretto, a trzy fragmenty drugiego aktu zyskały nową instrumentalizację, przypominając bardziej rewię piosenki niż operetkę.

Poznańska *Księżniczka czardasza* to spektakl dziwny, umykający wszelkim znanym klasyfikacjom. Daleko jej do klasycznej operetki, ale niczym też nie przypomina musicalu. To, dość oryginalna w swojej formie, parodia gatunku – Gombrowicz przeniesiony na muzyczne deski, z całym swoim absurdem i filozoficznymi rozważaniami na temat formy jako takiej. Chrapkiewicz dokonał rzeczy bardzo ryzykownej, serwując poznańskiej publiczność, znanej ze swojego przywiązania do tradycji, zabawę gatunkiem. Pozwolił Anecie Suskiewicz wprowadzić na operetkową scenę nonszalanckie, trochę ponure i utrzymane w szarej stylistyce stroje, które kojarzyły się raczej z paryskimi wybiegami mody niż z wnętrzem teatru. Bogatą i zazwyczaj pełną koloru scenografię, zastąpił bezbarwnym szkłem, białymi klockami służącymi do siedzenia i czarnymi schodami. Całość uzupełnił wizualizacjami autorstwa Emilii Sadowskiej, które stały się nie tylko integralną częścią spektaklu, ale pełniły rolę najważniejszego elementu scenografii. I dobrze, że tak się stało, bo był to niemal jedyny element wnoszący na scenę odrobinę koloru. Niestety, zawieszony tuż za orkiestronem ekran, zmniejszył i tak niewielką scenę Teatru Muzycznego do wielkości już nawet nie pudełka od zapalek, ale raczej bardzo wąskiego korytarza.

Minimalizm scenograficzny i kostiumowe haute couture nie szły w parze z koncepcją muzyczną dzieła Kálmána, Szczególnie jeśli spojrzymy na drugi akt. Festiwal piosenki, któremu bliżej było do paryskiej rewii niż do klasycznej operetki, mógł szokować nieco starszych widzów, przyzwyczajonych do oryginalnej partytury, na którą składają się łatwo wpadające w ucho melodie. Arie *W rytm walczyka* i *Bo to jest miłość, ta głupia miłość* zagrane i zaśpiewane w wersji swingowej zaskoczyły słuchaczy. Czy pozytywnie – opinie na widowni były podzielone: młodszym widzom ta wersja z pewnością bardziej przypadła do gustu, melomani i sympatycy klasycznego repertuaru mogli poczuć się rozczarowani.

Łączenie piosenki z ariami operetkowymi wymaga obecności na scenie solistów o doskonałych głosach, odnajdujących się zarówno w repertuarze klasycznym, jak i bardziej rozrywkowym. Niestety, ten zabieg nie do końca się udał – obronną ręką wyszli tylko Mikołaj Adamczak, czyli Edwin oraz wcielająca się w postać hrabiny Stasi, Katarzyna Tapek. Z bardziej musicalowym

śpiewaniem zupełnie nie poradziła sobie Aleksandra Orłowska-Jabłońska, która mimo zmienionej partytury wciąż pozostawała przy klasycznym śpiewaniu. Klóciło się to z ogólnym zarysem drugiego aktu, szczególnie w arii *Żoneczko, żoneczko* śpiewanej w kwartecie z Bonim, Edwinem i Stasi. Co ciekawe, z bardziej rozrywkowym śpiewaniem nie poradził sobie również Michał Bronk (Boni Kancsianu), na co dzień wokalista, aktor teatralny i filmowy, absolwent wydziału Wokalno-Aktorskiego Akademii Muzycznej im. Stanisława Moniuszki w Gdańsku. W moim odczuciu zdecydowanie lepiej radził sobie w akcie pierwszym, utrzymanym w oryginalnej, klasycznej formie muzycznej.

Niestety, tym który zawiódł najmocniej był znany i lubiany aktor, na co dzień występujący na deskach Teatru Nowego w Poznaniu, Radosław Elis. Mam wrażenie, że ten utalentowany, wielokrotnie doceniany i nagradzany za kreacje sceniczne aktor, znalazł się w *Księżniczce czardasza* przez przypadek i duża w tym wina reżysera, odpowiedzialnego za obsadę. Nawet bardzo dobrze śpiewający aktor dramatyczny czy komediowy, w połączeniu – na jednej scenie i niemal w jednej arii z wyszkolonymi głosami operowymi, musi ponieść porażkę. I tak niestety stało się w przypadku Radosława Elisa, wcielającego się w rolę hrabiego Feri. Scena ze skrzypkiem z trzeciego aktu ujawniła przepaść wokalną jaka, w klasycznym repertuarze, dzieli Radosława Elisa i Aleksandrę Orłowską-Jabłońską.

Solistką, która najmocniej zapadła w pamięć jest Lucyna Winkel, wcielająca się w postać Anhildy, żony księcia Leopolda Marii. Idealnie dobrana rola uwypukliła niezwykły talent komediowy aktorki. Na uznanie zasługuje również Chór, który pokazał się nie tylko z najlepszej strony wokalnej, ale także w dość trudnym do zdefiniowania sformalizowanym, synchronicznym ruchu. Uwagę widzów przykuwał również balet, który, dzięki minimalistycznej scenografii, miał całkiem sporo miejsca na kręcenie piruetów i doskonale tę niecodzienną sytuację wykorzystał. Duże brawa należą się szczególnie męskiej części baletu, który nie bał się odsłonić – niemal dosłownie i zaprezentował się w dość oryginalnej choreografii, przypominającej bardziej Jezioro łabędzie niż ognistego czardasza.

Jubileuszowa *Księżniczka czardasza* w Teatrze Muzycznym w Poznaniu miała zaskoczyć widzów i to z całą pewnością udało się osiągnąć. Czy były to niespodzianki, które zachwyciły publiczność – proponuję, aby każdy odpowiedział na to pytanie zgodnie z własnymi odczuciami. Jest to spektakl współczesny, zabawny, bawiący się gatunkiem i łamiący konwencje, a taki właśnie powinien być teatr wychodzący naprzeciw oczekiwaniom młodszej części widowni. O tym, czy odwrót od klasycznej formy operetki jest właściwą drogą dla Teatru Muzycznego w Poznaniu, zadecyduje publiczność. Mam obawy, że starszy widz przyzwyczajony do lekkiej muzyki, łatwej historii, bogatej scenografii i barwnych, pełnych piór oraz tiuli kostiumów, może poczuć się rozczarowany nową wersją dobrze znanej operetki Kálmána. Ale może się mylę?

<http://www.swiatkultury.com.pl/?p=14524>